

Kazimierz Wyka

"Potęga żywiołowa prawie"

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 66/4, 71-96

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KAZIMIERZ WYKA

„POTĘGA ŻYWIOŁOWA PRAWIE” *

To życie i tamten świat łódzki porywa mnie różnorodnością żywiołów, brakiem wszelkich szablonów, rozpętaniem instynktów, nieliczeniem się z niczym, potęgą żywiołową prawie. Jest to chaos brudów, mętów, dzikości, zło-dziejstwa, klęsk, ofiar, szamotań, upadków; jest to rynsztok, w który spływa wszystko; jest to jedna dzika walka o rubla, wielka sarabanda przed ołtarzem złotego cielca — jest to ohydne, ale jest to zarazem potwornie mocne i wielkie¹.

W takich słowach listu do Ferdynanda Hoesicka określał Reymont charakter mającej powstać powieści i swój do jej tematu stosunek. Zwłaszcza typowy dla niego fascynacyjny charakter owego stosunku umiał on celnie wskazać: awersja i upodobanie. Wiązał z tą powieścią wysokie bardzo nadzieje. Do Jana Lorentowicza pisał następująco:

Uwielbiam masy ludzkie, kocham żywioły, przepadam za wszystkim, co się staje dopiero — a wszystko to mam w tej Łodzi, więc się nie dziwicie, że trawi mnie gorączka pochycenia tętna niesłuchanie bujnego życia.

Łódź — to epos dla mnie, tylko epos tak nowożytny, a tak potężne, że wszystkie starożytnie to zabawki w porównaniu².

Łódź, chociaż geograficznie tak niedaleka od przypowiatowego terenu, który doświadczeniu Reymonta był najbliższy, była miastem, jakiego dotąd nie znał on dokładnie. Chociaż z Rogowa lub z Krosnowy bliżej jest po trasie kolejowej do Łodzi niż do Warszawy, ciągnęła go Warszawa.

* [Od Redakcji: Jest to jeden z rozdziałów nie dokończonej monografii o Reymonie. Tytuł, który w rękopisie brzmi: *Potęga żywiołowa prania*, poprawiono zgodnie z tekstem listu Reymonta do Hoesicka z 10 II 1897; w związku z tym trzeba było usunąć zdanie na s. 71, rozwijające tę metaforę. Poprawiono również drobne usterki stylistyczne nie dostrzeżone przez Autora. Przypisy sporządził i cytaty zweryfikował Lechosław T a t a r o w s k i.

Fragmety tej pracy, które posłużyły Autorowi jako materiał odczytu *O powieściopisarstwie Reymonta* (IBL — Warszawa, listopad 1974), ukazały się poprzednio w „Literaturze” (1975, nr 13) — pt. *Potęga żywiołowa prania*.]

¹ List z 10 II 1897. Cyt. za: B. K o c ó w n a, *Kilka kart z życia Reymonta*. „Prze-gład Humanistyczny” 1966, nr 1, s. 136.

² List z 5 IX 1896. Cyt. za: I. Ś l i w i ń s k a, *Władysław Reymont o „Ziemi obiecanej”*. „Ruch Literacki” 1933, nr 7, s. 149.

Łódź bowiem była jakąś dziką naroślą na owym spokojnym terenie, Warszawa — dawnym historycznie i pociągającym kulturalnie centrum.

Podpisawszy najpierw z firmą księgarską „Gebethner i Wolff” umowę na powieść o Łodzi, Reymont wyjechał do tego miasta. W pierwszej połowie r. 1896 spędził w nim kilka miesięcy. Powstaje pytanie, czy ta nagła inicjatywa wyniknęła z własnego zamysłu i decyzji Reymonta, czy też była rezultatem namowy ze strony jego przyjaciół ideowych i mecenasów finansowych. Raczej to drugie. Istotne w tej mierze dowody zgromadził Lech Budrecki w swojej marksistowskiej monografii pisarza (*Władysław Reymont. Zarys monograficzny*. Warszawa 1953) oraz w posłowniu do *Ziemi obiecanej* w edycji *Dzieł wybranych* Reymonta (Kraków 1956).

Ci protektorzy, a wśród nich również przyjaciele osobiści pisarza, to Roman Dmowski (1864—1939), Jan Ludwik Popławski (1854—1910), Józef Karol Potocki (1854—1898). A także — szczególnie dobrze przenikający psychikę Reymonta, jak wynika z pozostawionej o nim relacji i wzajemnej korespondencji — ziemianin i intelektualista Marian Kiniorski (1868—1943). Postać interesująca i niezależnie od swych przekonań politycznych godna pamięci.

Stąd — rozpoczynając od *Ziemi obiecanej* należy też mówić o aspektach politycznych pisarstwa Reymonta, a przede wszystkim o takich aspektach w recepcji i ocenie społecznej jego żywiołowego talentu. Nie w tym celu należy to czynić, ażeby umieszczać go w obrębie wybranego obozu politycznego czy też stronnictwa. Tego rodzaju zabiegi interpretacyjne niewiele dają w stosunku do wielkich pisarzy. Ale autor nowel chłopskich, *Komediantki* i *Fermentów*, człowiek zaledwie trzydziestoletni, był już wybitnym aktorem w tworzącej się formacji kulturalnej Młodej Polski. Jego roli można było nadawać walor polityczny. Konfrontacja Reymont—Żeromski będzie w tym postępowaniu stale pomocna. I znów nie dlatego, ażeby jednemu bądź drugiemu „przyznawać słuszność”, ale dlatego, ponieważ suma słuszności i widzenia pisarskiego dwu tak wybitnych i tak zaangażowanych w życie narodu prozaików składa się na dawany przez literaturę obraz owego życia.

Łódź poznawał Reymont w sposób łączywy i dociekliwy. Musiał przecież wnikać w szczegóły olbrzymiego mechanizmu społecznego, ludzkiego, obyczajowego i produkcyjnego, a nie należał do umysłów, których ciekawość życia daje się łatwo zaspokoić. Jak poznawał szczegóły owego niezmiennego mechanizmu, zwierzał się z czasem Adamowi Grzymale-Siedleckiemu:

Z pomyślanej kompozycji wynikało mi, że jedna scena powieści musi się odbywać w wielkiej przedzalni w czasie roboty. Pokazano mi wnętrze fabryki, oprowadzono mię po wszystkich zakamarkach, przyjrzałem się, jak wygląda

praca — i jaki jest ogólny obraz ruchu. Przyszedłem do domu i próbowałem nakreślić sobie brulion tej sceny. Nie mogłem. Czułem, że jeszcze czegoś nie wiem. Mordowałem się nad rozwikłaniem, czego mi jeszcze potrzeba. Nareszcie po kilku dniach zrozumiałem: w scenie tej „osobami działającymi” mają być: maszyna i człowiek z tą maszyną pracujący, a więc: mechanizm i praca. Cóż mi więc z tego, że wiem, jak wyglądają: maszyna i człowiek? muszę poznać duszę maszyny i duszę pracy, wtedy dopiero będę w domu! Udałem się więc jeszcze raz z prośbą do zarządu, by mi wyjaśnili, śrubka za śrubką, ustrój mechanizmu, tak bym myślowo mógł ją sobie rozłożyć na części, a potem ją na nowo zmontować. Dopiero gdym poznał całą jej logikę, gdym ją miał w sobie, gdy ona w moich nerwach zaczynała odbywać swój obrót — wówczas dopiero uczułem, że mogę o niej coś powiedzieć. To samo z pracą robotnika... Mogę opisywać jego przeżycia myślowe, jakie w nim zachodzą podczas pracy, lub ich nie opisywać, ale choćby na wyróst muszę je znać. Nie poznam, dopóki sam choć przez kilka minut nie będę tym robotnikiem. Wyjednałem więc pozwolenie, że mi pozwolono stanąć przy maszynie i pracować. Kilka pierwszych dotknięć już mi otworzyły nowe światy poznania. Wiedziałem już, jaki rodzaj uwagi musi robotnik w sobie wypracowywać, jakie wiedze inteligencji wyostrzać. Miałem już typ psychiczny rodzący się z danej techniki. To poznawszy, dopiero czułem się uprawniony do odtworzenia pracy i maszyny — w powieści³.

Bardzo cenne i bardzo prawdopodobne wyznanie. Trudno odgadnąć, do której ze scen pracy fabrycznej skreślonych w *Ziemi obiecanej* odnosi się pierwsza część wyznania. Tych scen jest przecież sporo w powieści. Ale nie ma powodu, ażeby zaliczyć całe to wyznanie do rzędu wymysłów fabulistycznych. Reymont sam był człowiekiem pracy fizycznej, ręcznej, chociaż na nim wymuszonej przez życie. Nie ma więc przyczyny wątpić w to, że przy poznaniu nowych zjawisk tej kategorii jego wyobraźnia nakazywała mu czynny udział. Co innego patrzeć, jak stolarz hebluje deskę, i nawet dokładnie wypytywać o ruchy — co innego wziąć hebel do ręki i spróbować.

Opuściwszy Łódź, Reymont w ciągu r. 1897 i 1898 pisał *Ziemię obiecaną*. Pisał ją we Francji, z dala od miasta, o którym dostateczną wiedzę już był sobie przyswoił. Wiedzę, a dokładniej — dostateczny zapas swoich urojeń realnych. Bo w Paryżu oraz małej miejscowości Ouarville koło Chartres pisząc *Ziemię obiecaną*, twórca w tej książce niesłychanie bogatej w realia, ściślej, dopasowanej do ulic i budynków Łodzi, już niczego nie był w stanie „sprawdzić”. Cudzysłów stąd pochodzi, ponieważ sprawdzają naturaliści nie umiejący wziąć hebla do ręki i posługujący się czyjąś dokładną i papierową notatką o budowie tego narzędzia. Mimo wszelkie podobieństwa w osiągniętych wynikach literackich — Reymont naturalistą w tym sensie nie był.

³ A. Grzymała-Siedlecki, *Ze wspomnień o Reymoncie*. „Kurier Poznański” 1925, nr 371.

W ciągu r. 1897 i 1898 *Ziemia obiecana* ukazywała się w należącej do firmy „Gebethner i Wolff” gazecie „Kurier Codzienny”. Temat był na tyle aktualny, fabuła tak jaskrawa, a nawet melodramatyczna i ocierająca się o sensację, że utwór ten nadawał się na powieść odcinkową adresowaną do szerokiego odbiorcy. W drugim roku publikacji, a więc w pobliżu zakończenia całości, nastąpiły w niej duże przerwy. Widocznie Reymont — podobnie jak przy *Fermentach* — mając już za sobą pierwopis, napotykał trudności przy jego montażu i właściwym zakończeniu. Finał *Fermentów* jest „puszczony” kompozycyjnie i nie przemyślany. Ponieważ dochowały się bruliony tej powieści, wiemy na ogół, dlaczego. Nie dochowały się pierwopisy i bruliony pisanej za granicą *Ziemi obiecanej*. Zakończenie jej jest z punktu widzenia kompozycyjnego jeszcze bardziej „puszczone” aniżeli finał *Fermentów*. Sprawa to o wiele donioślejsza. Historia Janki Orłowskiej w niewielkim stopniu poddaje się ocenie społeczno-politycznej i znacznie mniej ważne jest, w którym miejscu pisarz ją przerwał i jaki położył akcent finalny. Co innego, jeżeli wielka powieść, z racji swojego tematu jak najbardziej poddająca się takiej ocenie, kończy się w sposób sentymentalny i sprzeczny z jej całym przebiegiem.

Tak jest z *Ziemią obiecana*. Poczynając od słów: „A potem? Potem szły tygodnie, miesiące, lata i kładły się w grobie zapomnienia [...]” (2, 297)⁴ — jej ostatnie stronicie czynią wrażenie sztucznie dopisanych. Czynią takie wrażenie z wyjątkiem epickiej kody finałowej o chłopach ze wszech stron świata dążących do Łodzi jako „ziemi obiecanej”. Dowodzą te stronicie jaskrawo, że pisarz nie bardzo wiedział, jakim wymierzonym akcentem ją skończyć, więc zamknął — byle jak i sentymentalnie. „Przegrałem własne szczęście!... Trzeba je stwarzać dla drugich [...]” (2, 307). Gdyby te słowa powiedział Tomasz Judym pod rozdartą sosną w *Luźniach bezdomnych* — wszystko w porządku; ale Karol Borowiecki?!

W roku 1899 *Ziemia obiecana* ukazała się w wydaniu książkowym, jako trzecia wielka powieść Reymonta. Co to za powieść właściwie? Od czego rozpoczynając — rozebrać na główne części składowe tę panoramę, równie zagmatwaną w swoich składnikach co jednolitą w ich generalnym układzie? „Potęga żywiołowa prawie”, powiedział sam Reymont o Łodzi; [...] w liście do Lorentowicza pisał: „Przystąpiłem do tej pracy z entuzjazmem prawie i z wielką sumiennością [...]”⁵.

Wielka sumiennosc to rzeczywiście cecha główna *Ziemi obiecanej*.

⁴ Wszystkie cytaty z *Ziemi obiecanej* — według wyd.: W. S. Reymont, *Dzieła wybrane*. Wybór i redakcja: H. Markiewicz i J. Skórnicki. T. 5—6. Kraków 1956. Lokalizacje podawane są w nawiasach w tekście głównym, liczba przed przecinkiem wskazuje tom *Ziemi obiecanej*, liczba po przecinku — stronicę.

⁵ List z 8 VI 1896. Cyt. za: Sliwińska, *op. cit.*, s. 148.

Współczesnych krytyków w tej powieści uderzała, a po 70 latach od czasu jej napisania nabiera jeszcze dobitniejszej wymowy niespotykana pojemność poznawcza tego dzieła. Wartość informacyjna łódzko-Reymontowskiej panoramy powieściowej jest unikalna, a w tym bogactwo utrwalonych przez autora szczegółów. Od tej strony cała konstrukcja i kompozycja *Ziemi obiecanej* aż się przez brzegi przelewa od reportażowo-informacyjnego bogactwa. Tylko dwa miasta w Polsce posiadają tak wspaniałe inwentarze powieściowy, którego później już nikt nie powtórzył: Warszawa w *Lalce* Prusa, Łódź w *Ziemi obiecanej*.

Inwentarz opisowo-rejestracyjny Prusa zebrany został przy użyciu statywu fotograficznego, przenieszonego z miejsca na miejsce, stawianego spokojnie bądź na Krakowskim Przedmieściu, bądź na Powiślu. Technika pisarska Reymonta w *Ziemi obiecanej* natrętnie przywodzi na myśl procedury filmowe w ich bardzo wczesnej fazie rozwoju — jaskrawe, porwane i drgające. Porównanie o tyle uprawnione, że zapis rzeczywistości poprzez film i zapis rzeczywistości przez Reymonta były to zjawiska jednoczesne i przypadające pod sam koniec dziesięciolecia 1890—1900. W obrębie kultury nie zawsze jednoczesność oznacza związek strukturalny. Problem na tym polega: gdzie w obrębie zjawisk jednoczesnych daje się podobny związek założyć i udowodnić, a gdzie równocześnie się rozgrywające zjawiska artystyczne łączy tylko kalendarz.

Badacze literatury bywali w kłopotach, jak określić cechy techniki pisarskiej Reymonta, specjalnie widoczne w *Ziemi obiecanej* na skutek jaskrawych w tej powieści kontrastów i efektów. Technika ta zostanie bardzo ściśniona w *Chłopach*, ale znów, chociaż przy użyciu innego budulca artystycznego, powróci w trylogii historycznej Reymonta. Piszą ci badacze chętnie o impresjonizmie Reymonta. Być może dlatego, ponieważ chodzili oni na wystawy malarskie, a nie chodzili do kina. Tego jednak twórcę raczej należy oceniać pod kątem tego, co będzie, tego, co dopiero kiełkowało w sztuce. Jego siłą główną stanowiła bowiem nie gleba kultury oraz wyrafinowane i wypracowane programy i zabiegi artystyczne, a do nich należał impresjonizm. Należy więc Reymonta widzieć w związku z tym, co prymitywnie, ostro i gwałtownie dopiero powstawało w sztuce.

Zarówno pierwszy recenzent, pochwalnie akcentujący pojemność poznawczo-informacyjną *Ziemi obiecanej* (był nim Antoni Potocki 1867—1939), jak monografista pisarza — jednoznacznie podkreślają informacyjno-rejestracyjną stronę powieści Reymonta. Z tym, że monografista umie wskazać, jak dalece powieściowa technika podawcza zezwalająca na tę szeroką pojemność posiada kontakty z filmem.

wchodzimy tu do wnętrza kilkunastu rodzin: rodziny Müllerów, Borowieckich, Grünspanów, Mendelsohnów, Bucholców, Trawińskich, Malinowskich, Jaskólskich, Wysockich, Zuckerów, Endelmanów. Rodziny liczą po kilka lub kilka-

naście członków: poznajemy ich. Niektóre, jak ród Grünspanów, rozrodziły się w niezliczone pokolenia — liczymy je.

Ale to jest jeszcze zabawka. Zwiedzamy i poznajemy inwentarz łódzkiego teatru, nocnych kawiarni, szynków, fabryk, parków, hoteli, stacji kolei, kolonii podmiejskich; jedziemy za miasto do kawalerskiej arkadii Kesslera; jedziemy dalej — jeszcze o parę wiorst — do p. Kurowskiego; jedziemy jeszcze dalej do majątku Borowieckich. Stamtąd wybieramy się do kościoła, zwiedzamy po drodze osadę, wstępujemy do klasztoru...⁶

Reymont [...] konstruuje swą powieść sposobem niemal filmowym ustawiając jedną po drugiej sceny, które bez szkody dla całości kompozycji ulec mogłyby przedstawieniu, choć bez szkody dla tej całości nie dałyby się wyeliminować. Dowodzi tego choćby pobieżny rzut oka na kolejność kilku rozdziałów (od VI począwszy) tomu pierwszego, które obejmują takie kompleksy motywów charakterystycznych, jak zajadła kłótnia w rodzinie Żydów-szachrajów (Grünspanów), ukazująca, jak to się robi „plajtę” (uplanowane bankructwo); dalej życie i maniry milionera-satrapy, Bucholca; dalej stołownia urzędników fabrycznych, przeważnie zdeklasowanych ziemian doskonale radzących sobie w biurach łódzkich; dalej pozycja fabrykanta-Polaka, który umie dostosować się do wymagań otoczenia; dalej staromodna fabryka dziwaka Bauma i wewnątrz staroświeckiego domu niemieckiego, wreszcie życie w suterrenach zdeklasowanej i wyrzuconej na bruk rodziny eks-ziemiańskiej [...]. Kolejne te obrazy łączą się ze sobą albo byle jak — jakaś osoba z takim lub innym interesem wędruje kolejno od mieszkania do mieszkania — albo nawet nie łączą, bezpośrednio oczywiście, pośrednio bowiem poddane są wspólnej kierunkowej: służą do odmalowania życia w Łodzi, życia najrozmaitszych typów i osobników, które znalazły się w granicach „ziemi obiecanej”. Zręczna dłoń autora-reżysera zawsze zresztą obrazami tymi tak manewruje, że nie robią one wrażenia części strukturalnie zbędnych, że uwaga czytelnika zatrzymuje się, w stadium nowego obrazu początkowym, na jakiejś figurze znanej, którą potem gubi, zaabsorbowana przez bogactwo tego obrazu treściowe, skonstruowane znowuż w ten sposób, że jakkolwiek tracą się drobne szczegóły, pozostaje jakiś rys podstawowy całości, wedle którego dany rozdział bez trudności zaopatrzyć by można akcentującym jego treść tytułem⁷.

Ziemia obiecana rozpatrywana w aspekcie swej pojemności rejestracyjno-informacyjnej oraz jej skutków dla techniki pisarskiej Reymonta sprowadza się zatem w zasadzie do opinii, którą na jej temat wygłosił Stefan Żeromski:

Świetne, świetne... odrzyna się to od współczesnych banalności powieściowych jak plama atramentu od białości majtek. Ten człowiek widocznie potężniej [..]. Obrazy nie uramione, ale aż kąpią farbami. Styl trochę zaniedbany⁸.

⁶ A. Potocki, O „*Ziemi obiecanej*” Reymonta. W: *Szkice i wrażenia literackie*. Lwów 1903, s. 221.

⁷ J. Krzyżanowski, *Władysław St. Reymont. Twórca i dzieło*. Lwów 1937, s. 47, 48.

⁸ List J. Lemańskiego do Reymonta, referujący opinie różnych osób o *Ziemi obiecanej*. Cyt. za: Krzyżanowski, *op. cit.*, s. 206.

Książka tak pojemna musiała być ujęta w kilka krzyżujących się wątków fabularnych, a także — zgodnie z rzeczywistym układem społeczno-narodowościowym miasta Łodzi — musiała odzwierciedlić trzy zasadnicze żywiły: polski, żydowski i niemiecki. Jest rzeczą zbędną śledzić splątanie owych wątków oraz przenikanie się czy też wyraźne rozgraniczenie tych trzech żywiłów. Proletariat jest wyłącznie polski; środowisko wielkich i średnich przemysłowców oraz spekulantów, managerów i fachowców — żydowsko-niemiecko-polskie. Na to nakładają się jeszcze schematy i przesady obyczajowo-towarzyskie, których Łódź ówczesna nie dyktowała, lecz je na siebie przyjmowała.

Wielkie przyjęcie u Endelmana:

Panowały dwa języki: francuskim mówiły prawie wszystkie Żydówki, młode i stare, z nieliczną garścią Polek, niemieckim posługiwali się Żydzi, Niemcy i Polacy.

Gdziekolwiek tylko i po cichu brzmiała polska mowa, którą się komunikowała grupa inżynierów, doktorów i innych specjalistów, dość wybitnych na to, aby być zaproszonymi do Endelmanów, i dość niewielką grających rolę wobec milionerów, aby zajmować naczelne miejsce w salonie. [1, 227]

Ani zakręty fabuły, ani rysunek trzech środowisk nie są bowiem tym, co zagmatwanej panoramie *Ziemi obiecanej* nadaje jej generalny układ. Kręgosłupa tej powieści trzeba szukać tam, gdzie on przebiega naprawdę, a nie na jej zewnętrznej powierzchni. Kierunek tego szukania, jaki proponujemy, wymaga zgromadzenia obserwacji na pozór różnego gatunku. Będą one pochodzić z określonych kręgów tematycznych tej książki, skupiając się na sprawie stosunku postaci bądź całych grup społecznych do „ziemi obiecanej” wziętej nie jako tytuł powieści, lecz jako pierwotna metafora biblijna. To znaczy: kraina mlekiem i miodem płynąca — ale dla kogo i za jaką cenę? Obserwacje te będą również pochodzić z recepcji zasadniczej dla *Ziemi obiecanej*: jest to książka o kapitalistycznej metropolii wielkoprzemysłowej; miąższ społeczny takiej metropolii stanowi proletariat fabryczny — istnieje on pod piórem Reymonta, czy też nie istnieje? lub całkiem dokładnie — w jakiej mierze istnieje, a w jakiej go nie ma w *Ziemi obiecanej*? Nie ma wbrew rzeczywistości klasowej takiej metropolii.

Najpierw — co zdaje się mówić stosunek wybranych postaci bądź grup społecznych do łódzkiej „ziemi obiecanej”. Książka o niej jest powieścią o różnych sprzecznych i skłóconych racjach ludzkich w zetknięciu z olbrzymim zjawiskiem społecznym, którego ocena wymyka się jednej z tych racji, jakiegokolwiek z tych racji. Jak powiadał rezoner chłopski w noweli *Zawierucha*, prawda nie jest jedna i nikt na nią nie posiadał monopolu. Te racje są oczywiście poparte doświadczeniem ekonomiczno-społecznym głoszących je czy w ich imię działających grup bądź jednostek. *Ziemia obiecana* nie jest dyskursem intelektualnym, lecz nieustannie

biegnącą konfrontacją postępowań ludzkich, a u niektórych jednostek — wypowiedzi ogólnych i sądów w imię tych postępowań. Dlatego nie będąc w żadnym przypadku książką marksistowską, powieść Reymonta przesycona jest dialektyką — żywiołową i prymitywną nieraz, lecz niesłychanie działającą dialektyką sądów i postępowań.

Pisarz w wielostronną sieć rozpiął sprzeczności i kontrasty swego dialektycznego stosunku do tematu. Rozpocznijmy od przykładu, w którym w sposób intelektualnie uświadomiony zderzają się te kontrasty w ich wyglądzie najostrzejszym: bezwzględne potępienie i bezwzględna aprobata. Na Piotrkowskiej o zmroku spotkali się Halpern z Trawińskim:

Halpern zastawiał się parasolem od deszczu i patrzył z miłością na domy i fabryki; jego wielkie, czarne oczy świeciły fosforycznym blaskiem w bladej, chudej twarzy, okolonej siwą brodą. Miał głowę i twarz patriarchy, osadzoną na chudym, skrzywionym szkielecie, obleczonym w długie, zaszargane palto, które wisiało na nim jak na kiju.

— Ja tu znam każdy dom, każdą firmę — zaczął mówić gorąco. — Pamiętam Łódź, jak miała dwadzieścia tysięcy, a dzisiaj ma trzysta! A ja się doczekam, jak ona mieć będzie pół miliona, ja nie umrę przedziej! Ja to muszę widzieć na własne oczy, muszę się ucieszyć.

— Jeżeli jej przedtem lichy nie weźmie — szepnął nienawistnie.

— Ha, ha, ha, panie Trawiński, pan nie mów takich śmiesznych rzeczy! Łódź jest, Łódź będzie! Pan jej nie znasz! Pan wiesz, ile ona w przeszłym roku zrobiła obrotu? Dwieście trzydzieści milionów rubli — wołał z entuzjazmem, przystając aż na chodniku. — To jest ładny grosz. Pan mi pokaż takie drugie miasto!

— Nie ma się znowu tak czym chwalić, a zresztą masz pan rację, że takiego złodziejskiego miasta nie ma drugiego w Europie — mówił ze złością.

— Złodziejskie czy nie złodziejskie, to dla mnie jest papier. Mnie chodzi o co innego, ja chcę, żeby stawiali domy, żeby budowali fabryki, robili ulice, urządzali komunikacje, przeprowadzali drogi! Ja chcę, żeby moja Łódź rosła, żeby miała pałace wspaniałe, ogrody piękne, żeby był wielki ruch, wielki handel i wielki pieniądz.

— Na początek już są wielkie szwindle i wielka tandeta.

— To nie żaden feler, bo z tego urośnie wielka Łódź.

— Tymczasem niech ją piorun spali. Dobranoc, panie Dawidzie.

— Dobranoc, panie Trawiński. To nie jest dla Łodzi ostatnie pańskie słowo.

— Ostatnie i zupełnie szczere. Dorożka — krzyknął.

— Kapcan! — szepnął za nim pogardliwie Halpern i zawrócił wlokąc się wolno z powrotem, i znowu przypatrywał się domom, fabrykom, sklepom, składom, ludziom oczami oczarowanymi potęgą tego miasta. [1, 177—178]

Powie ktoś, że jest to właściwie zderzenie utopii — po stronie Halperna, z prawdą i rozczarowaniem — po stronie Trawińskiego. Ale tego rodzaju, jakże dialektyczne, zderzenie uogólnień nie jest u Reymonta tylko elementem powieściowej rozmowy postaci. Jego opinie społeczne układały się nieraz w taką właśnie parę przeciwstawną: rozczarowanie, potępienie — i utopia. Wielkim metropoliom kapitalistyczno-przemysłowym wieścił on nieraz katastroficzną zagładę. Snuł wizje o tym, w jaki

sposób w niebywalej katastrofie runie i zginie Nowy Jork. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że były to wizje zagłady atomowej. O tym na ogół pamięta się przy ocenie jego dyspozycji światopoglądowych. Ale ten sam Reymont takie sądy wypowiadał w rozmowie zanotowanej przez Grzymałę-Siedleckiego:

Rozmawialiśmy o utopiach. Wyraziłem przekonanie, że utopia jako gatunek myślenia jest to podatek mózgowy spłacany żądzy bezinteresowności intelektualnej, tej antytezie myśli praktycznej. Na to Reymont odpowiedział mi: Ja myślę, że jest wręcz przeciwnie. Moim zdaniem umysłowość ludzka tak jest skrojona, że niezdolna jest wydać ani jednej idei, która by się kiedyś nie dała wcielić w czyn. Gdyby wiek XX nie miał przeznaczenia, że wynalezienie aeroplanu, to przed wiekami nie powstałby mit o Ikarze. Najdziwniejsze, najkapryśniejsze pomysły fantastów nie przekraczają nigdy tego, co kiedyś będzie wynalazkiem, odkryciem, organizacją. Jest to może kalectwem umysłu ludzkiego, ale mózg nasz obraca się jedynie w granicach tego, co jest do wykonania możliwe. Utopii nie ma: są tylko przeczucia przyszłej wiedzy i techniki⁹.

Racje określonych grup ludzkich i racje pojedynczych postaci wobec łódzkiej „ziemi obiecanej” występują u Reymonta w tyłu odmianach i wydaniach, że wykluczone jest ich pełne wyliczenie. Te racje dyktuje interes materialny, ale dyktuje również namiętność działania.

I znowuż trudno przypominać, jak pomiędzy poszczególne postacie rozkładają się owe racje i motywy działania. Kierujący nimi mechanizm jest niesłychanie prosty i wciąż się powtarza: za wszelką cenę zdobyć pieniądze i bez skrępowań znaleźć się możliwie szybko i wysoko na szczytach drabiny społecznej w łódzkiej metropolii. Bardziej interesujące od studium wielkich przemysłowców, a zarazem wielkich spekulantów finansowych — spekulacja jest bowiem w *Ziemi obiecanej* nierozłącznym korelatem produkcji — są w tej powieści wątki i postacie pozornie marginalne.

Marginalne, ponieważ żaden z tych zachłannych osobników nie zdołał dostać się do rejestru wielkich firm łódzkich. Dwie takie postacie, obydwaj polskiego pochodzenia: Wilczek i Karczmarek. Mimo to chyba najbardziej antypatyczne figury w powieści. Pisarz z lubością śledzi ich zabiegi, kanty, pomysły, a zarazem twardą wolę wybicia się. Obydwaj stanowią jakąś replikę Grzesika-Grzesikiewicza i łącznik socjologiczny między *Fermentami* a łódzką powieścią. Scena w tomie 2, kiedy Wilczek — rzekomo jako agent Groszłucka — pożyczka nędzarkom pieniądze na lichwę, należy do najbardziej odpychających w całej książce. A motywy jego bezwzględności? Wcale nie są tylko ekonomiczne, pieniądza ma w nich uleczyć ponizienie i kompleksy indywidualne.

⁹ Grzymała-Siedlecki, *op. cit.*

Myślał i z nienawiścią przypominał sobie lata dzieciństwa, pasanie krów, posługi, jakie czynił w klasztorze, kije, jakie odbierał, nędzę całej rodziny, upokorzenia, jakie znosił w gimnazjum, upokorzenia, jakie odbierał razem z pomocą od swoich dobroczyńców, upokorzenia, jakie znosiła cała rodzina.

— Odbiję sobie wszystko! — mruzczał z szaloną zawziętością w sercu. [1, 331]

Podobnie chłop Karczmarek. Tym razem Reymont szczegółowo i zabawnie przeszedł wszystkie jego posunięcia [zmierzające do tego], by zdobyć dla siebie kawałek miejsca i chałupkę w „ziemi obiecanej”. „Ładna chałupka! trzy piętra frontu i cztery oficyny” (2, 43) — komentuje Borowiecki. Posunięcia od pierwszej fury piasku, co do której sprytny Karczmarek zauważył, że można ją sprzedać w Łodzi i zarobić. „Pojechałem z pierwszą furą: Żydy me zbiły na Starym Mieście, piaskarze nasze tyż, policjant i owszem na ulicy, alem sprzedał” (2, 42). Potem cegielnia parowa do spółki, „chałupka” w Łodzi i tak dalej.

Lecz nie tylko dorobek ekonomiczny. Rejment-Reymont. Grzesik-Grzesikiewicz. Karczmarek-Karczmarski. Właściciel tego podwójnego nazwiska tak je komentuje:

— [...] na Łódź to ja mam insze nazwisko, a na wieś też insze — tłumaczył uśmiechając się chytrze. — Ludzie są głupie, bo najpierw patrzą na obleczenie drugiego człowieka i na przezwisko. Powiadają, że jak się zwał, tak się zwał, aby się dobrze miał, ale to nieprawda. Jak się w Łodzi nazywałem po staremu, to byle parch albo Szwab, albo inny ciarach powiedział: „Karczmarek! chłopie, chodź no tutaj”. A jak się przezwiałem po szlachecku, to mi mówią: „Panie Karczmarski, może pan będzie łaskaw!” Po co mają mną pomiatać te parobki niemieckie, kiedy ja sroce spod ogona nie uciekłem i jestem gospodarski syn z dziada pradziada, i kiedy moi już gospodarzyli, to te różne Niemcy jeszcze po lasach na czworakach chodzą i surowe kartofle jak świniaki jadały. [2, 40—41]

Lecz Wilczek czy Karczmarek to ostatecznie płotki w zestawieniu z łódzkimi wielorybami. Tak dokładnie śledząc, dzięki czemu te płotki przybierają na wadze, Reymont zdaje się sugerować, że wieloryby ongiś zaczynały podobnie. Dopiero kiedy wzrosły i działają w samym żywiole pieniądza, spekulacji i kapitału, ich wzrost odbywa się sposobami bardziej skomplikowanymi. Po stronie potentatów produkcji i kapitału Reymont oprócz tego, co tych potentatów łączy: zasady konkurencji kapitalistycznej, skupił swoją uwagę na tym, co ich różni. Różni zaś stosunek do produkcji, przywiązanie do jej określonych form, udział w owoczesnym postępie ekonomicznym i organizacji produkcji.

Także i na tej skali Reymont śledzi całą drabinę form rozwojowych przemysłu tkackiego, zaczynając od firm na swój czas najbardziej produkujących organizacyjnie i technicznie. Takich jak firma Müller, której dziedzicem i zięciem zostanie Borowiecki, czy firma Herman Bucholc, w jakiej był Borowiecki dyrektorem drukarni płócien, przez starego Bucholca określanej: „najlepsza moja maszyna” (1, 18). Ta drabina form

rozwojowych kończy się na staroświecko prowadzonej fabryce Bauma i jacquardowskich warsztatach ręcznych tkaczy gdzieś w Konstantynowie, pomiędzy które wcisnęła się i zapanowała nad nimi nowoczesna fabryka Müllera. Widocznie w miesiącach poznawania Łodzi przez pisarza istniały jeszcze w egzemplarzach szczątkowych tego rodzaju warsztaty i stare fabryki odpowiadające kolejnym fazom rozwoju przemysłu łódzkiego. Stwierdzić to można porównując *Ziemię obiecaną* z odpowiednimi rozdziałami książki Karola Bojera *Przemysł włókienniczy na ziemiach polskich od początku XIX w. do 1939 r.* (Łódź 1958).

Wśród opinii o *Ziemi obiecanej* spotyka się nieraz sąd, że Reymont jako ideolog nie rozumie praw rozwoju nowoczesnej techniki i kapitalizmu i naiwnie im przeciwstawia bądź wieś, tradycyjny dwór szlachecki, czy wreszcie wcześniejsze i bardziej czyste moralnie co do metod działania etapy rozwoju kapitalizmu. W powieści istnieją tego rodzaju akcenty. Naprawdę jednak stanowisko pisarza jest bardziej zróżnicowane. Sympatia uczuciowa dla sielanki przedkapitalistycznej krzyżuje się z dialektycznym poczuciem konieczności rozwoju. Sfera konieczności, jarzma, tak znamienne dla przeświadczeń światopoglądowych pisarza, wkracza tutaj również. Rozmowa w fabryce starego Bauma, w której jedynym nowoczesnym urządzeniem jest — telefon:

— To Borowiecki chce się ze mną widzieć, pan go zna?

— Z widzenia tylko, bo przecież ja nie bywam w tym wielkim świecie łódzkim, u tych rozmaitych Bucholców, Mendelsohnów, Salcmanów, Meyerów i innego robactwa. Znam ich wszystkich z widzenia, tych młodych, a starszych od Michła, gdzie się czasami schodzimy; znaliśmy się wszyscy, co prawda, lepiej, ale to było dawno, kiedy w Łodzi panowała jeszcze uczciwość i nie było milionerów. To były takie czasy, o których wy, młodzi, nie macie pojęcia. Ja wtedy byłem z Geyerem starym największą łódzką firmą. Pary, maszyn, elektryczności, weksli, tandety, plajt, podstępnych pożarów nikt nie znał nawet ze słyszenia.

— A jednak to, co jest obecnie, przyjść musiało.

— Ja wiem, że musiało, że stary porządek zawsze musi ustąpić nowemu miejscu, zresztą, po co to mówić o tym — machnął ręką i zaczął przeglądać weksle. [1, 188]

„Stary porządek zawsze musi ustąpić nowemu”. Mimo elementów utopii u Reymonta — to nie wyraz aprobaty dla utopii konserwatywnej. I *Ziemia obiecana* jako całość nie jest też takim wyrazem. Dialektyka odmiennych racji, stanowisk i postępowań przechodzi w tej książce niekiedy w pomysły pisarskie, które tym więcej ją oddalają od konserwatywnej utopii. W kapitalizmie odbywał się nieustannie proces nazywany w marksistowskiej teorii społeczeństwa reifikacją — urzeczowieniem. Polega on na tym, że wytwory i siły produkcyjne odrywają się od świadomości grup i jednostek, które je wytworzyły, i działają w sposób urzeczowiony i rzekomo niezależny od ludzkiego działania. Traktowane są przez ową świa-

domość jako moce niezależne, zreifikowane, w sposób konieczny istniejące.

Wystarczy przeczytać znakomicie kończący tom 1 *Ziemi obiecanej* rozdział opisujący pogrzeb Bucholca, ażeby dostrzec, że Reymont — w oparciu o właściwe mu poczucie konieczności nad człowiekiem panującej — zdolny był kreować sceny, których sens istotny mieści się w reifikacji. „Dwa wypadki zaalarmowały Łódź: śmierć Bucholca i podskoczenie cen bawełny do niebywałej przedtem ceny” (1, 320). Tłumy przychodzą zobaczyć leżące w trumnie ciało Bucholca. Staje się ono dla Reymonta symbolem dwu potęg: konieczności życia i śmierci oraz potęgi zreifikowanego świata produkcji.

Oczekiwał na dzień pogrzebu, a tymczasem był pastwą ciekawych, płynących tłumami, aby zobaczyć, jak wygląda ten legendowy Bucholc, ten pan życia dziesiątek tysięcy ludzi, ten milioner! [...]

Leżał twarzą wprost drzwi otwartych na rozcież i zdawał się patrzeć zapadniętymi oczami, przez poczerńiałe powieki, na park, na mury fabryk, na kominy, buchające kłębamii dymów, na swoje królestwo dawne, na cały ten świat, wyciągnięty własną wolą z nicości, który teraz żył pełnią sił wszystkich, bo słycać było łoskot maszyn, świsty i sapania pociągów zwożących i wywożących całą gamę olbrzymiej produkcji, splatanej z wysiłków myśli i materii ujarzmionej, jaka huczała w ogromnych gmachach fabrycznych.

Dwie potęgi stały wobec siebie — człowiek umarły i żywa fabryka.

Twórca i ujarzmiiciel potęg przyrody został ich niewolnikiem, a z niewolnika łachmanem, wyżętym do ostatniej kropli krwi przez te same potęgi. [1, 321]

Jest więc *Ziemia obiecana* książką wyjątkowo bogatą, jeżeli chodzi o jej zawartość poznawczo-informacyjną, a także bardzo wielostronną w skali prezentowanych przez twórcę racji postaci i grup ludzkich wobec wielkiego miasta kapitalistyczno-przemysłowego. Ta zawartość i te racje dotyczą osobników i zespołów przynależnych do klas posiadających lub — jak Wilczek czy Karczmarek — dobijających się swojego miejsca w obrębie tych klas. Nie obejmują one proletariackiego mięszu miasta. Form istnienia oraz jednoczesnego nieistnienia proletariatu w *Ziemi obiecanej* nie da się rozwiązać interpretacyjnie frazesami o ograniczonym widzeniu klasowym u Reymonta czy też o wpływie ośrodków narodowodemokratycznych na to widzenie. Chociaż niewątpliwie jest to widzenie ograniczone i specyficzne.

Te kręgi społeczne, które świetnie umiał obserwować Reymont — mianowicie: burżuazyjny dorobkiewicz, bogaty chłop, skrzętnie i nowocześnie gospodarujący ziemianin — tworzyły bazę rekrutacyjną narodowej demokracji, a zarazem podłoże dla przyszłych prognoz socjalnych. Mówić wszakże o bezpośrednim i ujętym intelektualnie wpływie odpowiednich ideologów na pisarza (a także o wpływie programu ideowo-literackiego grupy „Głosu”), znaczy to problem stawiać na głowie.

Wspólność przebiegała gdzie indziej. Zarówno ideologowie „Głosu” jak Reymont byli uwrażliwieni na podobną dynamikę polskiego życia zbiorowego, odczuwali swoją łączność z podobnymi kręgami społecznymi. Lecz ideologowie narodowodemokratyczni doczepiali do nich złudzenia i programy, zaś Reymont nie miał żadnych złudzeń. Programowo ich nie miał. Tutaj otwierała się trudna do zatarcia rysa, którą parokrotnie sprostujemy w stosunku tego środowiska politycznego do pisarza.

Charakter owych przyjmowanych jako wspólne doświadczeń życiowych wskazał Roman Dmowski w liście do Reymonta z r. 1896, ustalającym wygląd i podstawy ich przyjaźni. W znacznej mierze polegała ona na zbliżonych motywach, jakie odnajdziemy w stosunku wzajemnym: Wincenty Witos — Władysław Reymont. „Drwał sanguszkowski”, jak siebie nazywał Witos — podobnie jak Reymont, podobnie jak Dmowski — z niczego wychodząc zdobył czołowe stanowisko we własnym społeczeństwie. Tę sytuację Dmowski, nieporównanie bardziej wyrobiony intelektualnie od Reymonta, analizował następująco:

Mamy sporo wspólnego: 1-o, obaj weszliśmy w życie sami i poniekąd sami w nim sterczymy (pomimo pozorów robiących ze mnie rodzaj przedstawiciela jednomyślniej grupy), nie należąc właściwie do żadnej sfery społecznej. Moim zdaniem duża jest w tym siła. Uważasz — ojciec mój był sobie trochę brukarz, trochę rybak, umiejący czytać, podpisać się i pisać dla swego użytku dosyć pierwotnym sposobem. Przechodząc szkoły (również z niepowodzeniem, tylko z większą od Ciebie cierpliwością, jako człowiek nie przeznaczony na grubego pisarza) miałem wstręt do wchodzenia w tak zwane „towarzystwo”. Skutkiem tego ocierając się o rozmaite sfery, w żadną nie wszedłem i z żadną mnie sympatie nie łączą.

2-o. Dzięki temu właśnie, zdaje mi się, mózgownica obu nam działa bardziej niezależnie, swobodnie, niż innym ludziskom.

3-o. Obaj mamy trochę rozmachu, co sprawia, że obu nam za ciasno na świecie ¹⁰.

Wracając do *Ziemi obiecanej* — stosunku pisarza do proletariatu w tej powieści nie można przypisywać przejęciu przez Reymonta wskazań ideologów, którzy nie przyjmowali do wiadomości walki klasowej jako głównego motywu rozwoju społecznego w formacji kapitalistycznej. Wręcz przeciwnie. Krytycy tego obozu oceniając powieść Reymonta okazali się bardziej „marksistowscy” niż jej autor. Jeden z nich, Władysław Jabłonowski (1865—1956), krytyk wybitny, a z czasem działacz polityczny, ostro wytknął Reymontowi niedostatki w ukazaniu środowiska robotniczego Łodzi. Nie tak ostro — uczynił to również Roman Dmowski, łagodząc swój zarzut przypuszczeniem, że względ na cenzurę stanął na przeszkodzie Reymontowi:

¹⁰ List do Reymonta z r. 1896. Cyt. za: W. K o t o w s k i, *Reymont i Dmowski*. „Tygodnik Warszawski” 1946, nr 3, s. 4.

Ziemia obiecana jest powieścią w całym tego słowa znaczeniu społeczną. Daje ona możliwie pełny obraz etyczno-psychologiczny przemysłowego ogniska, przedstawia przeobrażanie się ludności rolniczej kraju na przemysłową, wreszcie rzuca silne światło na wzajemny stosunek trzech grup kulturalno-rasowych: Polaków, Niemców i Żydów. Powiedzieliśmy: możliwie pełny obraz, bo pełność jego wymagałaby przede wszystkim więcej miejsca dla żywiołu robotniczego, dla jego walk, o których przecie coś wiemy, a dalej, gdy chodzi o stosunki między narodowościami, brak tu całkiem panów i rządców kraju, Moskali, którym pewna rola w urabianiu stosunków także przypada¹¹.

W tej dosyć nieoczekiwanej i niełatwej sytuacji trzeba powrócić do tekstu *Ziemi obiecanej* jako odpowiedzi na pytanie o istnienie bądź nieistnienie proletariatu w tym dziele. Proletariat ten nie istnieje jako czynnik dynamiczny, jako źródło konfliktów klasowych wynikających z jego egzystencji. Nie ma go również jako zespołu postaci powieściowych, osadzonych na swojej ulicy i w mieszkaniu, do których pisarz wprowadziłby czytelnika. Reymont zaś w wymiarze szczególnym i odróżniającym go od innych pisarzy rzeczywistość powieściową konstruował stale poprzez postacie i rejestrację ich rozmów. Takimi prawami powieściowymi obdarzeni, robociarze łódzcy u niego nie istnieją. Dlaczego? Wygląda, że Reymont, pisarz uczciwy także w swoich ograniczeniach, nie potrafił zmyślać tam, gdzie nie był zdolny obserwować.

A jednocześnie proletariat ten jakoś istnieje. Powracając do metafory o gruncie malarskim, którym założone są wielkie malowidła Reymonta, wracając też do przypomnienia, że jego pióro swobodnie się czuło w tłumie i gromadzie, stwierdzić wypada, że w tym sposobie środowisko robotnicze istnieje przecież w *Ziemi obiecanej*.

Pisarz zakłada w jej tle milczącą, niewiadomą w swoich właściwościach masę ludzką. Typowe dla owej obecności będą takie stronice, jak opis przedwiosennej niedzieli na Piotrkowskiej:

Masy robotników, poubieranych świątecznie w letnie, jasne ubrania, w krzyżące, kolorowe krawaty, w czapki o mocno błyszczących daszkach lub w wysokie, dawno wyszłe z mody kapelusze, z parasolami w rękach, zalewały Piotrkowską, ciągnęli sznurami z bocznych ulic i tłoczyli się na trotuarach tym ciężkim ruchem masy, która z biernością poddaje się wszelkiemu parciu; robotnice w cudacznych, jaskrawych kapeluszach, w sukniach do figury, w jasnych pelerynkach, to znowu w chustkach kraciastych na ramionach, z włosami gładko przyczesanymi i świecącymi pomadą i szpilkami złotymi, czasem wetkniętym sztucznym kwiatkiem, drepwały wolno, rozpierając się łokciami w tłumie, ochraniając często w ten sposób sztywne, mocno wykrochmalone suknie albo rozpięte nad głowami parasolki, które jak wielkie motyle o tysiącach barw chwiały się nad tą szarą, wciąż płynącą rzeką ludzką, wzbierającą po drodze nowymi przypływami z bocznych, poprzecznych ulic. [1, 109]

¹¹ R. D m o w s k i, *Nowa powieść społeczna. (Uwagi o „Ziemi obiecanej” Wł. St. Reymonta)*. „Przegląd Wszechpolski” 1899, nr 2, s. 84.

Wartość informacyjna tego opisu jest unikalna poprzez bogactwo zawartych w nim realiów i obserwacji. Proletariat istnieje również w *Ziemi obiecanej* jako zespół rąk ludzkich przypisanych do maszyny, jako jej dodatkowe ramię. Odpowiednich scen sporo jest w powieści, rozpoczynając od jej rozdziału 1, od obrazu milczących gromad robotników spieszących o świcie do pracy. Stosunek tych ludzi do pełnionej pracy równie bywa prymitywny i zacofany, jak na planie produkcji jacquardowskiej warsztaty, które jeszcze przetrwały w Łodzi. Odpowiada tym wczesnym bardzo fazom rozwoju świadomości proletariackiej i wynikającym stąd buntom, kiedy maszyna bywała traktowana jako wróg proletariatu. Buntury takie, połączone z niszczeniem maszyn, występowały w Europie już od XVII wieku. Opisał je Karol Marks w tomie 1 *Kapitału*, w podrozdziale noszącym tytuł *Walka między robotnikiem a maszyną*, od takiej rozpoczynając formuły wstępnej:

od chwili wprowadzenia maszyny robotnik zwalcza sam środek pracy, materialną formę istnienia kapitału. Buntuje się przeciw tej określonej formie środka produkcji jako materialnej podstawie kapitalistycznego sposobu produkcji¹².

W *Ziemi obiecanej* przykład odpowiedni stanowi zakończenie rozdziału 2 w tomie 1. Robotnicy w fabryce Bucholca dowiadują się, że na skutek wprowadzenia wydajniejszych maszyn kilkunastu spośród nich grozi redukcja. Zbliżoną wymowę posiada również scena śmierci robotnika zabitego przez maszynę (zakończenie rozdziału 8).

Robotnicy spoglądali na siebie w milczeniu, niepokój świecił im w oczach, niepokój przed jutrem bez roboty, przed nędzą.

— Ścierwy nie maszyny. Psy, psiakrew — szepnął robotnik i kopnął z całą nienawiścią w bok jakiejś maszyny.

— Towar idzie na ziemię! — krzyknął majster.

Chłop prędko nadział czapkę, przygiął się nieco i ze spokojem automatu odbierał barchan czerwony z maszyny. [1, 29]

Znowuż więc, podobnie jak przy historii awansu ekonomicznego Karczmarka, Reymont z upodobaniem rozpoczyna od możliwie niskiego szczebla wchodzących w grę zjawisk. Dlatego obraz proletariatu łódzkiego w *Ziemi obiecanej* trudno zestawiać z górnym i przodującym stanem świadomości klasowej owego proletariatu, wyrażającym się w organizacjach robotniczych, strajkach i manifestacjach, których widownią była Łódź przed powstaniem tej powieści. Przynosi takie zestawienie rozprawa Mieczysławy Romankówny „*Ziemia obiecana*” Reymonta a rzeczywistość łódzka („Prace Polonistyczne” 1937).

¹² K. M a r k s, *Kapitał*. T. 1. Warszawa 1951, s. 461.

Nawet jednak nie wymagając od twórcy, by wprowadził do *Ziemi obiecanej* najbardziej uświadomione jednostki wśród robotników, [stwierdzić trzeba, że] obraz proletariatu w tej powieści posiada poziom „zaniżony”. Nie należy tego obrazu zestawiać z ulicą Ciepłą w *Ludziach bezdomnych* Żeromskiego, ponieważ porównywanie dwu wizji artystycznych w członie drugim porównania nie wprowadza dokumentu możliwie autentycznego. Natomiast zestawienie z pamiętnikiem Lucjana Rudnickiego *Stare i nowe* wprowadza w tym członie relację dokumentarną. Wypada być trochę ostrożnym w pełnym zaufaniu wobec tej relacji, pochodzi ona bowiem od jednostki wyjątkowej, wyrobionej i szybko dojrzewającej intelektualnie. Reymont zaś zwykł śledzić odruchy masy na jej egzemplarzach działających żywiołowo i reagujących prymitywnie. Ale mimo tej hipotetycznej poprawki, która dystans między prawdą *Ziemi obiecanej* a [prawdą] pamiętnika Rudnickiego zmniejsza na korzyść Reymonta, poziom przedstawienia proletariatu jest u niego na pewno „zaniżony”.

Co do maszynoburczego odruchu, o którym Reymont zasłyszał czy może go zobaczył, Rudnicki tak się wypowiada:

W „blichu” Widzewskiej Manufaktury pięćdziesiąt lat temu pracowali chłopci z bliższych i dalszych okolic, poprzetykani Niemcami, i mimo że zaprzęgali się do nowej pańszczyzny, umieli cenić dobrodziejstwo i potęgę maszyny. Rozumieli instynktownie, że rodzi się tu nowy społeczny porządek, wyższy od tego na wsi. [...] W onym czasie chłop polski uciekając od bydłowej doli nie tylko nie miał zamiarów maszynoburczych, ale błogosławił maszyny i fabrykanta¹³.

Reymontowskie „zaniżenie” obrazu widać również w zestawieniu z ogólną notą, jaką Lucjan Rudnicki postawił swojemu doświadczeniu i pozycji życiowej po pierwszym okresie pracy w Łodzi:

Mimo ciężkich przeżyć pierwsze półtora roku upłynęło mi w Łodzi w nadzwyczajnym zadowoleniu. Wywody o zbrodniczym kapitalizmie i bezdusznym kapitalistach przemawiały mi do rozumu, ale nie do uczuć. Czuję się lepiej niż w Sulejowie, zachwycam się techniką i odczuwałem szacunek dla ludzi, którzy nią kierowali. [...]

Z czasem jednak zacząłem spostrzegać ciężkie położenie towarzyszy obarczonych rodzinami, widziałem starych robotników, po pięćdziesiątce, usuwanych z pracy przy lada pretekście, dowiadywałem się o faktach wyrzucania innych na bruk bez wymówienia, za to, że byli „za mądrzy”. Nie tylko wypadek przy pracy, ale nawet kilkudniowa choroba, urodziny, śmierć sprowadzały ciężką niedolę z następstwami odczuwalnymi całe lata¹⁴.

Reymont zdaje się ilustrować powieściowo tylko drugą część owej oceny. Czyżby więc krytyka kapitalizmu poprzez pokazanie jego bezwzględności i nadużyć wobec proletariatuszy? Takich intencji nie można

¹³ L. Rudnicki, *Stare i nowe*. T. 1. Warszawa 1950, s. 125.

¹⁴ *Ibidem*, s. 199.

temu twórcy przypisywać. Całościowy obraz klasy robotniczej w *Ziemi obiecanej* wtedy nabiera właściwej wymowy, kiedy go połączyć w kontrastową całość z panoramą warstw posiadających w tej powieści. O ile ów obraz jest „zaniżony”, to owa panorama jest „zawyżona”. Łódź ludzi posiadających urosła w ujęciu Reymonta do wymiarów wyolbrzymionych, sięgających takich form bogactwa, użycia i zbytku, takiej apokaliptycznej radości z pieniądza, że panorama tak ustawiona przerasta wymiary realistyczne. Jak gdyby z dosyć wysokiego łańcucha górskiego zrobiono Alpy.

Reymont wytrwale mnoży efekty szczytowe tego łańcucha. „Dekadencka” zabawa milionerskich panien na wydaniu w pałacu Szai Mendelsohna w tomie 1. Przechodząca w barbarzyńską pijatykę nocna hulanka w stylu *dolce vita* młodszych spośród łódzkich właścicieli i managerów w zamiejskim pałacu Kesslera w tomie 2. Osiąga to także pisarz poprzez inne przykłady zbytku i wspaniałości opartej na pieniądzu: buduar Lucy Zuckerowej, pałac Bucholca, wieczór w teatrze, przyjęcie u Endelmana, na którym gromadzi się „cała Łódź”.

Z niezliczonej ilości takich fragmentów — ten jeden: Szaja Mendelsohn na przyjęciu u Endelmana. Gospodarz częstuje go szampanem:

Mendelsohn pił wolno i smakował ze znanstwem.

— Niezłe, dziękuję ci, Endelman.

— Myślę, jedenaście rubli butelka.

[...]

Jego [tj. Mendelsohna] dwudziestu milionom składały hołd i czołobitność nędzne, pojedyncze miliony i nikczemne setki tysięcy rubli; otaczali go zgodnym, harmonijnym kołem Żydzi, Niemcy i Polacy; wobec jego potęgi, ciężącej na wszystkich i hipnotyzującej najtrzeźwiejszych, znikwały rasowe antagonizmy, konkurencyjne nienawiści, osobiste nieprzyjaźnie — bo wobec tego szczupaka wszyscy czuli się kielbami i czekali z niepokojem, rychło zechce ich połknąć, jak określał Dawid Halpern stosunek małych fabrykantów do Szai. Ale Szaja był dzisiaj w dobrym humorze, nie chciał rozmawiać o interesach, a zaczął żartować z niektórych.

— Kipman, ty masz brzuch, jakbyś tam schował sztukę perkalu.

— Dlaczego ja miałbym schować sztukę perkalu w brzuch, ja jestem chory, ja zaraz muszę jechać do Karlsbadu.

I tak sobie rozmawiali dalej milionerzy łódzcy [...]. [1, 227—228]

Pedant powie, że jest to okraszona złośliwym humorem ilustracja powieściowa sprawy koncentracji kapitału, którego uosobieniem staje się arcymilioner Szaja. Dajmy spokój pedanterii. *Ziemia obiecana* jako obraz społeczno-klasowy wielkiej metropolii kapitalistyczno-przemysłowej została skonstruowana według zasad tylko w tej powieści egzystujących, a nie w socjologii naukowej czy w rzeczywistości — zasad stratyfikacji społecznej. Stratyfikacji, czyli społecznego uwarstwienia.

Stratyfikacja to termin powszechnie stosowany we współczesnej socjologii, zwłaszcza niemarksistowskiej. Dotyczy on przede wszystkim zróż-

nicowania między poszczególnymi warstwami społecznymi, podczas kiedy Marksowska teoria klas zajmuje się realnie istniejącym i naukowo stwierdzalnym podziałem społeczeństwa na klasy antagonistyczne ze względu na ich ekonomiczne, polityczne i kulturalne interesy. Nie wdając się dalej w opisywany wielokrotnie przez socjologów-marksistów zestaw różnic między teoriami stratyfikacji społecznej a Marksowską teorią klas, stwierdzić wypada, że samo pojęcie uwarstwienia w obrębie społeczeństwa należy do najstarszych instrumentów orientacyjnych człowieka w otaczającym go świecie społecznym. W tym znaczeniu stratyfikacja jako ów instrument jest o wiele starsza, a zarazem myślowo pierwotniejsza od dokonanego przez Marksa i marksizm naukowego opisu klas społecznych i ich wzajemnego stosunku.

Opis najdawniejszych wyobrażeń na temat struktury społecznej, opartych na zasadzie poziomego uwarstwienia w jej obrębie, przynosi książka Stanisława Ossowskiego *Struktura klasowa w społecznej świadomości* (Łódź 1957). Wyobrażenia te i podziały bywają bardzo proste. Na samym początku są to dychotomiczne, czyli dwudzielne podziały: jedni nad drugimi; bogaci i biedni; rządzący i rządzeni; ci, na których się pracuje, i ci, którzy pracują; w postaci obrazowej — pszczoły i trutnie. Ze względu na folklorystyczne pochodzenie, a więc bliskie chłopskiej rekrutacji proletariatu w *Ziemi obiecanej*, warto powtórzyć podany przez Ossowskiego za Kolbergiem przykład ludowej gadki polskiej:

Rozkazał anioł Hainowi [...], aby całe życie pracował nie tylko na własne dzieci, lecz także na potomstwo Jabła, któremu to potomstwu pozwolił żyć na świecie, żeby nic nie robili, a dobrze się mieli. Otóż od Jabła wywodzą się królowie i panowie, od Haina zaś chłopci robiący pańszczyznę, pracujący na korzyść panów [...]. Co dobrego Hain zrobił: pańszczyznę zbudował; teraz muszą ubodzy pracować na bogaczów¹⁵.

W społeczeństwach bardziej skomplikowanych podział dychotomiczny nie wystarczył dla orientacji. Powstawały podówczas schematy orientacyjne oparte na zasadzie gradacji, czyli stopniowania wybranej cechy. Taką najbardziej widoczną cechą bywa ilość posiadanego majątku i pieniędzy i wtedy — w terminologii Ossowskiego — mamy do czynienia z gradacją prostą. Jeżeli zaś dołączy się do tego umiejętność użycia i wydania pieniędzy, styl życia, potrzeby kulturalne, słowem: określone „przywileje mienia” — mamy do czynienia z gradacją syntetyczną.

Ten wstępny ekskurs potrzebny był bardzo dla widocznego celu: stratyfikacja społeczna o charakterze poziomym widniejąca w *Ziemi obiecanej* nie bardzo przystaje do rzeczywistego układu klasowego wielkiej metropolii kapitalistycznej. Jest zbyt uproszczona i zbyt prymitywna. Za to

¹⁵ Cyt. za: S. Ossowski, *Struktura klasowa w społecznej świadomości*. Łódź 1957, s. 25.

przymierzona do przypominanych za Ossowskim schematów i wyobrażeń pasuje do nich nadspodziewanie dobrze. Co — mówiąc nawiasem — tłumaczy, dlaczego tak trudno sklasyfikować tę powieść zestawiając ją z dokumentami rzeczywistego życia i rozwoju społecznego epoki.

Ziemia obiecana nie jest wszakże traktatem socjologicznym czy fabularną takiego traktatu ilustracją, lecz — powieścią. Stąd siatka wzajemnych zależności wewnątrzspołecznych nie układa się w niej według jednej tylko zasady, np. zwykłej dychotomii. Łódź to organizm zbyt skomplikowany, ażeby bez groźby ułatwionej alegorii dał się wpakować do jednego i wyłącznego schematu. Krzyżuje się w tej panoramie i ze sobą współistnieje co najmniej kilka rodzajów widzenia struktury społecznej. Będą to: po pierwsze — podział na tych, na których się pracuje, i tych, którzy pracują, przenikający się z podziałem na tych, co już posiadają, i tych, którzy gwałtownie posiadać pragną. Po drugie — szczeblowanie proste gradacyjne wedle majątku i syntetyczne według umiejętności użycia tego majątku. Po trzecie — podział na zasadzie innej kategorii aniżeli ekonomiczna, na „swoich” (Polacy, zarówno chłop jak posiadacz łódzki) oraz „obcych” (wszyscy inni, a więc Żydzi i Niemcy). Ponieważ wykluczony został z powieści żywioł rosyjski — jasne, że w niej nie ma podziału na rządzących i rządzonych.

Ten wieloraki mechanizm bardzo prostych zależności rozpatrzemy na niektórych przykładach. Szaja Mendelsohn na przyjęciu u Endelmana funkcjonuje w obrębie gradacji prostej, wedle wymierzalnej ilości posiadanego majątku. To, co powiada o nim stary Halpern, stanowi przytoczenie bardzo dawnego i chętnie malowanego w minionych stuleciach alegorycznego wyjaśnienia i uporządkowania podobnej gradacji: duża ryba z brzuchem pełnym małych rybek. Kiełbie i szczupak, tak jak pszczoły i trutnie dla zwykłej dychotomii.

Tego typu gradacja prosta oparta na widocznej dla wszystkich ilości pieniędzy danego osobnika wciąż nawraca w *Ziemi obiecanej* w stosunkach między postaciami powieściowymi, w opiniach i ocenach wzajemnych. Dla powieściopisarza o wiele bardziej interesujące są objawy gradacji syntetycznej, opartej na „przywilejach mienia”. Pozwalają bowiem na obserwację, na opis, na budowanie kontrastów między ilością posiadanego pieniądza a sztuką lub umiejętnością użycia tego pieniądza. Reymont z lubością porusza się na tym demaskacyjnym dla *łodzermensch’ów* terenie.

W pałacu Bucholca „zbudowanym w [...] łódzko-berlińsko-renesansowym stylu” (1, 89) panuje bogactwo niedbałe, które niewiele wpłynęło na styl życia pary starych milionerów. Obiad jest kiepski, chociaż serwują go lokaje, wino podano tylko Borowieckiemu. Bucholc snuje się w „starym, watowanym szlafroku, z łątami na łokciach”. Jego gabinet pracy:

Rozglądał się [Borowiecki] po ścianach [...]. Olbrzymie mahoniowe biurko stało w rogu pomiędzy dwoma oknami, przysłoniętymi ekranami z kolorowych szkieł. Linoleum, naśladowujące posadzkę, pokrywało podłogę gabinetu i było nader mocno powydeptywane. [1, 91—92]

Słowem — Bucholc zachował osobisty styl życia: oszczędnego drobno-mieszczanina niemieckiego. Inaczej u Endelmanów, którzy już wiedzą, co z pieniędzmi zrobić: wspaniałe suknie i sposób bycia pani domu; antyki i obrazy o rzeczywistej wartości artystycznej. Pisarz jednak nie odmówi sobie satysfakcji, by pokazać czytelnikowi, komu to wszystko służy:

W narożniku salonu wznosiła swoje brązowe kształty wdzięczna Diana z Fontainebleau wśród róż białych i purpurowych, które delikatnymi pędami pięły się na marmurowy postument i plamiły barwami popielatozielony ton brązu. Na tym tle siedział Mendelsohn i gromada fabrykantów. [1, 229]

Tę satysfakcję opisową rozbudowuje o całą i bardzo złośliwą scenę, kiedy milionerzy łódzcy oglądają zbiory Endelmana, bardziej ramy dostrzegając i wartość ich w rublach aniżeli same obrazy i artystyczny ich walor.

Z kolei zamiejski „zameczek w stylu gotycko-łódzkim” (2, 205) Kesslera. Czegóż tam nie ma: indyjskie i chińskie wspaniałe maty na werandzie; menażeria dzikich zwierząt; jelenie i stado białych pawi; kolacja w jadalni zamienionej na ogród podzwrotnikowy; salon umeblowany na sposób wschodni, z wielkimi sofami i wspaniałymi dywanami. I tak dalej, i tak dalej. „Mieszkaś jak prawdziwy książe łódzki” — mówi Moryc Welt, a Kessler odpowiada: „Robiłem, co mogłem, żeby się jako tako urządzić w tym barbarzyńskim kraju” (2, 205).

Pisze Ossowski:

Styl życia to nie jest właściwość podlegająca stopniowaniu wedle jakiejś jednolitej skali, tak jak zamożność lub stopień wykształcenia. Ale styl życia jako cecha klasowa to przede wszystkim rozmiary i forma konsumpcji. Styl życia znajduje odbicie w budżecie. Wysokość budżetu nie przesądza wprawdzie stylu życia (te same sumy można wydawać w bardzo różny sposób, gdy przekraczają tzw. minimum utrzymania), ale pewne typy stylu życia przesądzą wysokość budżetu. W ten sposób zjawia się pośrednio miernik stylu życia w postaci skali wydatków. Mówi się w związku z tym o życiu „na odpowiednim poziomie”¹⁶.

„Mieszkaś jak prawdziwy książe łódzki”. „Robiłem, co mogłem, aby się [...] urządzić [...]”.

Parę uwag obecnie o podziale na „swoich” i „obcych”. Aspekt polityczny *Ziemi obiecanej* skupia się głównie przy tym podziale i on też najbardziej konweniował protektorom politycznym Reymonta. Zwłaszcza kiedy prowadził do pewnych antysemickich złośliwości w tekście utworu.

¹⁶ *Ibidem*, s. 48.

Zgodnie z tą zasadą podziału usiłował pisarz ustawić osobę Borowieckiego jako „swojego”, tj. Polaka, który działa i postępuje inaczej niż „obcy”, tj. Niemcy i Żydzi. Prawie całkowicie się to nie powiodło. Mimo wszystkie próby usamodzielnienia się moralnego i osobistego Borowiecki postępuje tak, jak mu dyktują łódzkie konieczności.

Postać powieściową Borowieckiego traktując tak, jak gdyby to był realny znajomy, któremu można nawymyślać — bajkopisarz i przyjaciel Reymonta, Jan Lemański (1866—1933), tak oceniał:

Może co dalej zrobisz ciekawszego, to się udobrucham i wejrzę łaskawiej na twoje czyny, ty człeku nieugięty, zapalny, z hartem duszy, zmienny bez powodu, ty myślący bez myśli, ty działający bez własnych czynów, ty mający aspiracje do prawości, siły woli i rozumu, a wykonywujący czyny mimo woli, źle czyniący z żalem, dobrze z niechęcią, ty szczęśliwy narzeczony, bawiący się w miłości z głupimi jałówkami złotymi, ty szydzący z narzeczonej, litujący się nad nią i uczuwający ku niej migawkowe prądy miłosne. Fe, panie Borowiecki, popraw się na siedzeniu — bo wylecisz z rydwanu powieści¹⁷.

Nawet więc w oczach przychylnych mu przyjaciół-krytyków Reymont miał kłopoty z przeprowadzeniem podziału „swoi” i „obcy” wbrew i w poprzek istniejącym w powieści sytuacjom moralnym i ekonomicznym. Jako świadectwo posłużyć też może scena z lichwiarskim udzielaniem pożyczek przez Wilczka. Jak znamy tego bezwzględnego typu, mógłby on to robić na własną rękę. Reymont jednak wnosi poprawkę, że jest on lichwiarzem w zastępstwie i na korzyść Groszlücka, czyli „obcego”. Wnosi także dalszą poprawkę, że Wilczek pobiera procenty znacznie mniejsze niż jego poprzednicy, też „obcy”. Abstrahując od tego, czy czytelnik zdolny jest w to uwierzyć, mamy w tej scenie skrzyżowanie dychotomicznego podziału: na tych, co posiadają, i tych, co nie posiadają, lichwiarz i zapożyczający się — z podziałem dodatkowym, według innej zasady: „swój” w ramach powyższej dychotomii zawsze będzie lepszy od „obcego”. Tymczasem nawet Aleksander Fredro nie miał takich złudzeń, kiedy do *Dożywcia* wprowadził dwu lichwiarzy — Łatkę i Twardosza, obydwóch „swoich”.

Niekiedy wreszcie rozróżnienie na „swoich” i „obcych” Reymont jawnie i celowo puszcza w ruch. Tak będzie na przyjęciu po poświęceniu „Manufaktury wyrobów bawełnianych pod firmą K. Borowiecki i S-ka”. Sypią się kolejne toasty, a w ich porządku — chłodno przez zebranych przyjęty toast „kochajmy się”.

powstał Karczmarek, który z początku siedział cicho, onieśmielony obecnością milionerów i tym niezwykłym dla siebie zebraniem, ale teraz, po tylu toastach uczciwie spełnionych, nabrał animuszu i swady — nalał pełną szklanekę koniaku, trącił się z Myszkowskim i Polakami i mocnym, ale ochrypłym głosem zawołał:

— Rzeknę swoje! Żeby się ludzie kochały, w to nie uwierzę — bo wszyscy bie-

¹⁷ Cyt. za: K r z y ż a n o w s k i, *op. cit.*, s. 209.

rzemy z jednej miski, a każdy chce dla siebie najwięcej. Pies z wilkiem się kochają, ale ino wtedy, kiedy do spółki cielaka sporządzają albo i barana. Jak komu potrza albo i na rękę, to niech se ta wszystkich kocha, ale nam nie potrza, żebyśmy się kochali, ino żebyśmy się nie dali... Czy rozumem... czy kalkulacją... czy pięścią na ten przykład, a nie dajmy się... Moc mamy i rozum tyż... to chciałem rzec i tym przepijam do pana Borowieckiego!...

Przepił i chciał mówić dalej, ale zagłuszyły go brawa, bite umyślnie, bo Niemcy poczeli się krzywić, więc przestał i pił dalej z Myszkowskim. [2, 234—235]

Jaki może zachodzić związek pomiędzy opisanymi odmianami gradacji socjalnej w *Ziemi obiecanej* a „zaniżonym” obrazem proletariatu i jego świadomości? Wyobrażenia Reymonta o stratyfikacji społecznej zatrzymały się na etapie przedmarksowskim, ale wyobrażenia te nie były zasadniczo błędne, a już tym więcej — reakcyjne. W *Ziemi obiecanej* nie ma łagodnego zróżniczkowania warstw społecznych połączonego z przeświadczeniem, że tworzą one harmonijną całość. Właśnie walka, ostre napięcie, dezintegracja widnieją jako cechy naczelné wielkiego ośrodka przemysłowego. Jest tak, mimo że pisarz posłużył się środkami wyróżnień bardzo dawno egzystującymi w wyobraźni ludzkiej. Po jednej stronie: chłopci kopalniani, tak dalece zacofani, bezpieniężna nędza, automaty człowiecze przy maszynach, lokaje, stróże, Zośki Malinowskie przymusem wzięte na kochanki i zawsze do odstąpienia; po drugiej — ci, co posiadają i prawa posiadania dyktują. Ponadto w tego rodzaju kontrastach wypowiadał się Reymont, kiedy określał w listach, co pociąga go w Łodzi.

Między „zaniżeniem” proletariatu a „zawyżeniem” posiadających występuje więc zależność taka, że wszelkie układy interpretacyjne o mechanizmie bardzo prostym tym bardziej są ekspresywne i wymowne dla odbiorcy, im bardziej są kontrastowe. Krwiopijca i ofiara. Bogacz i nędzarz. Przypomnijmy Bucholca, z manifestowaną satysfakcją odrzucającego wszystkie listy o wsparcie, czytane mu przez Borowieckiego. Skuteczność artystyczna podobnych układów interpretacyjnych mocno jest związana z ich charakterem ostro skonstrastowanym.

Wywołuje to ten skutek, że przy całej szczegółowości i realizmie przedstawienia *Ziemia obiecana* posiada właściwości wizjonerskie i jest oparta na walorach artystycznych biegunowo przeciwstawnych. Jej konstrukcja obfituje w realne urojenia. Całość dzieła zdaje się wychodzić poza swoją epokę i podłoże realne. Kiedy właściwie rozgrywa się akcja *Ziemi obiecanej*, trudno odpowiedzieć z kalendarzem w rękę. Pisarz chyba celowo poskąpił wyraźniejszych w tym kierunku wskazówek.

Jako tego rodzaju wskazówkę przyjmuje się nieraz informację udzieloną Grosglückowi przez jego sekretarza Blumenfelda: „Wiktor Hugo umarł wczoraj” (2, 51). Maj 1885. Ale w sprzeczności z tym stoi pytanie, które jedna z pań stawia na przyjęciu u Endelmanów: „Pan czytał Bour-

geta *La Terre promise?*” (1, 243). Ta książka ukazała się w roku 1892. Do tego rodzaju drobiazgowej lokalizacji w czasie nie należy więc przywiązywać wagi. Akcja *Ziemi obiecanej* rozgrywa się w czasie, który według innych miar winien być określany.

Punktem wyjścia może być wyjątkowo bystra obserwacja Jana Lemańskiego. Postawił on w liście do Reymonta szereg zarzutów kompozycyjnych, a równocześnie z rzadką trafnością wskazał na moment owej lokalizacji w czasie:

zrobię Ci naprzód takie oto zarzuty: 1) ciesielski: za wątłe belkowanie dla obszaru budynku, 2) anatomiczny: za mało kości, za dużo mięsa i nerwów, 3) malarski: brak jednego oznaczonego punktu, w którym autor ma święty obowiązek przybijać oko widza, 4) kosmograficzny: każda ziemia, nawet i „obiecana”, winna mieć ruch podwójny, wokoło słońca i wkoło własnej osi; twoja ziemia ma ruch jeden, tj. obraca się wkoło siebie, ale na jednym miejscu. Planeta, rzecz z natury swej ciemna, dużo traci, gdy autor skąpi jej swego ducha słonecznego, swego słońca i nie wtrąca jej w ruch wokół tegoż¹⁸.

Chodzi o słowa: „twoja ziemia ma ruch jeden, tj. obraca się wkoło siebie, ale na jednym miejscu”. W *Ziemi obiecanej* powtarzają się mianowicie wciąż dwa te same „obroty społeczne”: taniec wokół pieniądza u tych, co już posiadają lub posiadania się dobijają; przechodzenie chłopu w proletariusza fabrycznego u dolnego szczebla gradacji klasowej organizującej tę panoramę. Czy też dokładniej i w sposób w tym miejscu bardziej właściwy terminologicznie — tę karuzelę. Ze względu na „zaniżoną” pozycję proletariatu w książce Reymonta obchodzi nas tylko drugi z tych obrotów: nieustanne przechodzenie chłopu w szeregi proletariuszy. Ale powyżej tego wciąż obracającego się koła nie zostało zmontowane koło i transformacja inna. Ta, która proletariusza nieświadomego swej nowej pozycji społeczno-klasowej zmienia w proletariusza uświadomionego, która zeń czyni członka klasy robotniczej. Element świadomej przynależności do określonej klasy stanowi zawsze kolejny czynnik konstytutywny w jej powstawaniu, kolejny po warunkach obiektywnych tworzących podstawę klasowych różnic w społeczeństwie.

Ziemia obiecana mogła się przeto z równym powodzeniem rozpoczynać jak kończyć ustępami, które stanowią jej właściwą kodę finałową (a nie sentymentalne i niesprawiedliwe westchnienie końcowe Borowieckiego). W skali rozwoju proletariusza uświadomionego ustępy te dobrze odpowiadają rozdziałowi Rudnickiego w *Starym i nowym*, noszącemu tytuł *W nowym świecie*, ale zatrzymują się przed progiem dwu rozdziałów następujących: *Przełom* i *Polityka*. Reymont nadał tym ustępom szeroką stylizację epicką, podkreślił w nich epicką powtarzalność i epicką niezmiennność tego centralnego zjawiska.

¹⁸ *Ibidem*, s. 208.

Tylko dlatego, poza murami, hen w polach, dookoła tej „ziemi obiecanej”, w głębiach nieodgadnionych nocy, wrzał ruch jakiś, rozlegały się szmery głosów, turkoty, szумы, echa śmiechów, łkań, przekleństw.

Wszystkimi drogami, połyskującymi kałużami wód wiosennych, które biegły ze wszystkich krańców świata do tej „ziemi obiecanej”, wszystkimi ścieżkami, co się wili wskrós pól zieleniejących i sadów kwitnących, wskrós lasów pełnych zapachów brzoź młodych i wiosny, wskrós wiosek zapadłych, moczarów nieprzebytych — ciągnęły tłumy ludzi, setki wozów skrzypiało, tysiące wagonów leciało jak błyskawice, tysiące westchnień wznosiło się i tysiące rozpalonych spojrzeń rzucało się w ciemność z upragnieniem i gorączką, szukając konturów tej „ziemi obiecanej”.

Z równin odległych, z gór, z zapadłych wiosek, ze stolic i z miasteczek, spod strzech i z pałaców, z wyżyn i z rynsztoków ciągnęli ludzie nieskończoną procesją do tej „ziemi obiecanej”. Przychodzili użyźniać ją krwią swoją, przynosili jej siły, młodość, zdrowie, wolność swoją, nadzieje i nędze, mózgi i pracę, wiarę i marzenia. [2, 306]

Dlatego, jeżeli idzie o lokalizację czasową *Ziemi obiecanej*, nie należy pytać, który to rok w przybliżeniu, jakie ogniwo chronologiczne w rozwoju formacji kapitalistycznej, które przebywszy — formacja ta rozwijała się dalej. W tej karuzeli powtarza się wciąż ten sam obrót wydarzeń i figur: tak po stronie proletariuszy jak posiadających.

Tego rodzaju lokalizację można nazwać umieszczeniem dzieła w pewnym beczasie historycznym, na myśli mając to, że pewne znamiona powtarzalne i ponadczasowe w danym dziele są specjalnie przez jego twórcę akcentowane, jako istniejące zawsze i ponad czasem realnym. W beczasie historycznym, ale z innych elementów ułożonym, umieści Reymont nawet *Chłopów*. To dążenie jest wspólne zarówno dla powieści o „*lodzermensch'ach*” i chłopach lipeckich. Zbliża ono do siebie te wielkie powieści nie tylko w kolejności prawie bezpośredniej ich pisania, ale także w pewnych składnikach generalnej koncepcji. Dążenie do lokalizacji w beczasie stanowi bowiem jeden z wyróżników epiki.

Po stronie proletariatu daje się przeprowadzić w *Ziemi obiecanej* zabieg interpretacyjny — i nie jest on chyba naciągnięty w stosunku do struktury tej powieści — w którym konkretne zjawisko rozwojowe: chłop gwałtownie przedzierzgnięty w proletariusza, otrzymało wygląd ogólny, wciąż nawracający, epicko-bezczasowy. Co wyjaśnia „zaniżenie” tego skrzydła powieści. Czemu zaś może odpowiadać w ramach podobnej konstrukcji skrzydło „zawyżone”? Ponieważ cała propozycja interpretacyjna posiadała swobodę pewnego nieliczenia się z tym, czy dane ogniwo rozwojowe akurat istniało w Łodzi około r. 1890, czy podówczas, czy też znacznie wcześniej zostało ono historycznie stwierdzone — więc na skrzydle posiadającym też tak możemy postąpić z *Ziemią obiecaną*.

Zachowanie się kapitalistów, przemysłowców, spekulantów, „*gründ-er'ów*”, w ogóle „*lodzermensch'ów*” w *Ziemi obiecanej*, niezależnie od

tego, czy są oni Żydami, Niemcami bądź Polakami — pełne jest okrucieństwa, bezwzględności, łapczywości, zachłanności, brutalnego przeświadczenia, że pieniądz i dążenie do niego to zawsze racja wystarczająca moralnie. Objawy takie opisał Karol Marks jako typowe dla akumulacji pierwotnej, będącej punktem wyjścia dla kapitalistycznego systemu produkcji.

W zestawieniach takich trzeba być jednak ostrożnym. Przede wszystkim nie twierdzi się i nie zakłada, ażeby Reymont czytał *Kapitał* Marksa. Taką możliwość wyklucza środowisko, w jakim Reymont się obracał, i niemiecki zasób jego lektur. Tom 1 *Kapitału* ukazał się w przekładzie polskim w roku 1884, dlatego wskazane jest powyższe zastrzeżenie. Dalej: nie twierdzi się, ażeby Reymont w *Ziemi obiecanej* ilustrował powieściowo zjawisko akumulacji pierwotnej. Pod koniec XIX w. kapitalizm to zjawisko rozwojowe miał już dawno za sobą. Chłop z polskiego terenu wchodził w istniejący już system produkcji przemysłowej typu kapitalistycznego.

Twierdzi się natomiast, że zachodzi wyraźne podobieństwo typologiczne między wieloma zachowaniami typowymi dla akumulacji pierwotnej a funkcją, pozycją i metodami działania posiadających w powieści polskiego pisarza. Określone metody działania posiadających zwykły trwać dłużej aniżeli wywołująca je sytuacja obiektywna. Ponadto Łódź była ośrodkiem młodym, dopiero z niczego powstała i — jak na filmie biegnącym z przyspieszeniem — gwałtownie w niej przebiegały sceny gdzie indziej już dawno rozegrane.

Owa akumulacja pierwotna — pisze Marks w rozdziale 24 *Kapitału* — odgrywa w ekonomii politycznej mniej więcej tę samą rolę co grzech pierworodny w teologii. Adam nadgryzł jabłko i przez to skalał grzechem cały rodzaj ludzki. Tak samo początek akumulacji jest nam wykładany w postaci anegdoty historycznej. W zamierzonych czasach była sobie z jednej strony elita ludzi pracowitych i rozumnych, a nade wszystko oszczędnych, z drugiej zaś strony — nicponie, leniwcy trwoniący całe swe mienie i jeszcze więcej. Legenda teologiczna o grzechu pierworodnym poucza nas przynajmniej, dlaczego człowiek został skazany na to, aby chleb swój spożywał w pocie czoła swego: natomiast opowieść o ekonomicznym grzechu pierworodnym odsłania, w jaki sposób istnieją ludzie, którzy tego czynić nie potrzebują. Zresztą wszystko jedno. Tak czy inaczej, doszło do tego, że pierwsi nagromadzili bogactwa, a drudzy ostatecznie mieli do sprzedania tylko własną skórę. I od czasu tego grzechu pierworodnego datuje się nędza wielkiej masy ludności, która wciąż jeszcze, pomimo wszelkiej pracy, nie ma na sprzedaż nic prócz samych siebie, z drugiej zaś strony bogactwo niewielkiej liczby osób, nieustannie rosnące, choć osoby te od dawna przestały pracować¹⁹.

¹⁹ Marks, *op. cit.*, s. 771.

Polska gadka ludowa o klasowych skutkach zabicia Abła przez Kaina godna jest tutaj przypomnienia.

Sumując przeprowadzone rozważania stwierdzamy, że wielka, niesłychanie szczegółowa i bogata panorama społeczna *Ziemi obiecanej* Reymonta została przez tego pisarza skonstruowana w sposób bardzo szczególny i nie od razu odsłaniający mechanizm, który tą panoramą rządzi. Nie można bowiem tej powieści traktować jako realistycznej w tym znaczeniu, że wszystko jest w niej zgodne z układem klasowym Łodzi w dziesięcioleciu, w jakim Reymont ją poznał: 1890—1900.

Prawdy tej powieści zostały tak ułożone, że chociaż są to częstokroć prawdy cofnięte w czasie wobec owego dziesięciolecia lub też zatrzymane w czasie, jak gdyby dalej nie miały się rozwijać, otrzymała jednak *Ziemia obiecana* oddech epicki. Ów oddech dotyczy nie tyle obrazu samej metropolii, ten obraz jest krzykliwy, dysonansowy, co nie bywa właściwością epiki — ile wskazuje, dzięki czemu ta dzika narośl wybijała na polskim terenie i jakiej polskiej warstwie społecznej zawdzięcza swoje soki żywotne. *Ziemia obiecana* od tej strony nachylona w kierunku epiki, jest tym samym nachylona w stronę *Chłopów*.

jestem gospodarski syn z dziada pradziada, i kiedy moi już gospodarzyli, to te Niemcy jeszcze po lasach na czworakach chodziły i surowe kartofle jak świniaki jadały. [2, 40—41]

— te pełne chłopskiej dumy słowa Karczmarka mogliby powtórzyć Borynowie czy Kłębowie, gdyby zaludniona nimi powieść o Lipcach nie była jeszcze bardziej cofnięta i izolowana w beczasie historycznym.